Nr. 42. We Lwowie dnia 21. października 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Królewicz Marko.

PIEŚŃ I.

(Dokończenie).

Słyszy Marko, co kruki krakają,
Aż mu serce się na pół rozrywa
I zawoła od wielkiej rozpaczy:

»Biada temu, kogo dotknie klątwa,
Nieuchronna klątwa rodzicielska!
Czemużeś mnie zaklął, Wukaszynie,
Wukaszynie, mój rodzony ojcze!
Otom musiał w święty dzień Witowy,
Kiedy Serbja szła na bój kosowski,
Służyć turkom, serbski naród zwalczać
I w niewolę go dawać turecką!
A jam wołał śród hałasu bitwy,
Wszechmocnemu Bogu tak wołałem:
O wszechmocny Boże sprawiedliwy,
Daj zwycięstwo Serbom chrześcijanom,
Choćbym pierwszy padł na polu bitwy,
Pierwszy upadł na Kosowem polu!
Ale Bóg wszechmocny, sprawiedliwy,
Nie usłuchał, jak się modli zdrajca.
Padła Serbja, upadła przezemnie!
Ni mi stanąć teraz śród junaków,
Ani swatów posłać do dziewczyny,
Ani matce pokłonić się starej,
Ani w cerkwi upaść przed ikoną.
Jeno kindżał wbić w junackie łono,
I śród trupów, trupem ledz na wieki«.
I już podniósł swój kindżał stalowy,
I w junackie chciał go wbić swe łono,
Aż tu biegnie Wila Rawijojła,
Biała Wila, Marka posiestryma.
Rzecze Marku Wila Rawijojła:

»Rzuć twój kindżał, królewiczu Marku!
Królewiczu Marku, pobratymie,
Słuchaj, co ci rzecze Wila biała:
Padły tutaj na Kosowem polu,
Wszystka serbska szlachta i żupany,
Ale w chatach został lud wieśniaczy,
Który jęczał w żupańskiej niewoli,
I nie przyszedł na bój, na Kosowo.
Ty płacz sercem, królewiczu Marku,
Żałuj grzechów, a staw zaduszbiny.
Ty bądź, Marku, ochroną wieśniaka!
Życie tobie dane nieśmiertelne,
I nim minie półtysiącolecia,
Lud ten cały, co dziś w chatach został,
I nie czuje niewoli sułtańskiej,
Bo mu słabsza od niewoli pańskiej,
Jako burza wstanie niewstrzymana,
Aby wygnać turka bisurmana,
Tak jak dzisiaj walczyły wojwody!
A ty wonczas wstaniesz przebudzony,
Ze snu twego półtysiącletniego —
Pójdziesz z ludem na Kosowe pole —
I zwyciężysz turka bisurmana.
I tak sławny zostaniesz na wieki:
Lud cię w pieśniach będzie błogosławił,
Póki stanie słońca i miesiąca«.
Chwała Serbom, co mężnie walczyli,
Za ojczyznę i za wiarę świętą!
I świętemu Łazarowi chwała!
Zwyciężonym i poległym chwała!
Tym, co grzechów swoich płaczą — chwała!
Dobrym ludziom tu na ziemi, chwała,
I wszechmocnemu Bogu na niebiosach chwała
wiekuista. Amen.

Bóchnik, 1891. *A. Lange.*

Kartki z współczesnego dziennika.

II.

Twardy, okrutny tytuł dał swej książce pan Maurycy Zych: *Rozdziobą nas kruki, wrony*)*. Dziwne pozdrowienie, spadające na czytelnika, jak dotkliwy cios, jak smagnięcie! W ten sposób zapewne witali się ongi biczownicy, owi szalejący z bólu ekstatycy wieków średnich, którzy szukali zmazania win w swojej katuszy publicznej. Tytuł, zgodnie z dzisiejszą modą francuską, — jest w tem źdźbło ironji — zawdzięcza książka jednemu z zawartych w niej obrazków. Lecz moda francuska nie tłumaczy nam, dla czego ten właśnie obrazek, a nie inny, obrał autor za złowróżbne motto swej książki? Dla czego tak brutalnie, tak nieludzko wita nas ten autor »z ziemi mogił i krzyżów«?...

Zastrzegam z góry, że książkę pana Zycha uważam za coś więcej, niż utwór literacki — uważam za dokument naszego życia; dokument niezmiernie wymowny i ciekawy. Nie będę więc szczędził komentarzy i nie potrafię się utrzymać w ramach konwencjonalnie literackiej analizy. Natomiast korzystając z niezwykłej sposobności, dotknę tego fragmentu naszej »duszy społecznej«, która z kartek tych wydziera się ku nam w dziwnie bolesnej ekstazie. — Czego chce pan Zych, kim jest, że tak przemawia? to jest prawdziwie ważne dla nas.

Przedewszystkiem — jak przemawia? Książki, jak ludzie, wywierają swe »pierwsze wrażenie«. Pierwsze wrażenie książki pana Zycha jest brutalne, przykre. Bez dalszych wstępów idźmy za autorem do tytułowej kartki: *Rozdziobią nas kruki, wrony.*

Na pustej wydmie, pod jesiennym ołowianem niebem, którego »nie zdołał przebić, ani jeden żywy promień«, roztacza się przed nami taki obraz. — Gdzieś na krańcu widnokręgu, ginie we mgłach czerniawa wojska, które przeszło przed chwilą. Gdzie przeszło, zostawiło po sobie ślad doraźnej egzekucji, trupy człowieka i konia przy wozie z zapasem broni. Teraz rozpoczyna się w pustkowiu przeraźliwy dramat. Nad zwłoki konia i człowieka, zwietrzywszy żer, zlatują wrony. Opadają z krakaniem te trupy i rozpoczynają biesiadę. Może chcesz wiedzieć, czytelniku, jak to wygląda? »Jedna z nich przymaszerowała aż do nozdrzy zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopel krwi skrzepłej, okrytej błoną rudawą. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła łeb do góry, rozkraczyła nogi, jak drwal zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim w martwe oko trupa«. Proszę zanotować, sądzę zresztą, że i tak się czytelnik wstrząsa, przeraźliwy raealizm tego opisu. Sceny ohydniejszej, a równie wymownie przedstawionej trzeba chyba szukać w dalszym ciągu tego obrazku. — Wrony ledwie rozpoczęły swą biesiadę, gdy spłoszył je nowy przybysz, co zbliżył się niepostrzeżenie chyłkiem, podobny do szarej bestji. »Nie był to jednak poetyczny szakal, lecz człowiek, ubogi chłop z sąsiedniej wioski. Na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze, znalazły się trupy — szedł więc je zabrać ztamtąd«. Jeden z koni nie był jeszcze martwy, ale miał złamaną nogę — chłop uznał, że trzeba szkapę udusić. »Założył jej też nie zwlekając linkę na kark, przywiązał ją do wagi od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je z całej mocy. Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwaliła go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwałem za ciągnącą go parą, stąpając ostrym szpicem nagiej piszczeli po błocie i po kamieniach. Chłop spojrzał i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia«... Tobie, czytelniku, nie wolno oczu zakrywać: autor każe patrzeć na ten szczyt ohydy realistycznej. Prawdziwie, równie tatarskiej biesiady okrucieństw nie sprawiał swym czytelnikom nawet Sienkiewicz, wsadzający na pal swych bohaterów!.. Ale idźmy dalej. Chłop skończył wreszcie swoją robotę, zwlókł zwłoki człowieka i koni do wspólnej jamy i szedł ku domowi...

»Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzał pod zachód słońca.

»Na tle zorzy liljowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Motał łbem, wykręcał go w stronę grobu Winrycha i rżał... Trzepały się nad tym żywym trupem, wzlatywały, spadały i krążyły wron gromady. Zorza szybko gasła. Z za świata szła noc, rozpacz i śmierć«. Tu koniec tej męki.

Zestawiłem te opisy, zgrozą przejmujące, wyrywając je z toku opowieści, żeby na wstępie uderzyć czytelnika ich dziką potęgą. Nieprawdaż, że jest to ostatnie słowo »realizmu««? Lecz jakież będzie zdziwienie czytelnika, skoro mu powiem, że autor tych opisów nie jest realistą, że nie dla realizmu są one mu potrzebne.

Z toku opowieści widać to zresztą wyraźnie. Te wrony — to niezwykłe wrony. Oto jedna z nich wchodzi na sam trup człowieka z zamiarem wyżarcia mu mózgu, »warcholskiego mózgu, siedliska wolnej myśli«. — My wszak skądciś już nawet znamy te wrony: »Wrony... to są filozofy przemądre, poważne, flegmatyczne, a szpetne, lubiące się zbierać tam, gdzie leży zgnilizna i karmić się pozorami śmierci w świecie« — tak mówił Krasiński. I ten chłop-złodziej, to niezwykły chłop: popatrzmy, jak on grzebie trupy. Do

*) **Maurycy Zych.** *Rozdziobią nas kruki, wrony.* Obrazki z ziemi mogił i krzyżów. — Nakładem Zwolińskiego i Spki. Kraków 1896.

jednej z dziur po kartoflach zaciągnął włościanin i zwłoki konia i zwłoki człowieka. »Zepchnął je pospołu do jednego lochu... tak bez wiedzy i woli, zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk i za cierpienie ludu«...

Co to jest? — więc te wrony, ten trup, ten dziko-praktyczny chłop — to symbole? Więc to obraz symboliczny? W takim razie pocoż wyrafinowany realizm szczegółów, po co naturalistyczna plastyka tych sopli skrzepłej krwi, tych wyłupianych trupom oczu, tych ohyd skaczącego na żywej kości konia?... Ten realizm nie jest że po prostu bezpłodnem okrucieństwem, z jakiem np. złe dzieci pastwią się nad półżywą żabą? To potworne ożenienie symboliki z szczegółowością realizmu — nie jest·że jedynie błędem artystycznym, brakiem opanowania formy?

Nie — ponieważ utwór ten nie jest, ani symbolicznym, ani realistycznym.

Porzućmy na chwilę jego stronę literacką, aby tem lepiej ją później ocenić. Opowieść pana Zycha — to rzecz bardzo stara. Jest to rzecz, sięgająca tej jesieni, kiedy jeszcze się tułał po lasach i błotach cień »buntu« w krwi gaszonego. Moskiewska dłoń wgniatała w ziejące po kraju mogiły już tylko resztki powstańczych partji. — Tak jest, szanowny czytelniku: te okropne obrazy — to bardzo dawna przeszłość. W owe to czasy po owym świecie kołatał się ów powstaniec, którego trup jest biernym bohaterem obrazku. Jego to czaszkę, ową »ostatnią fortecę polskiego powstania« rozwalały po śmierci wrony, »przebrzydłe filozofy«... Chciały wrony wówczas zeżreć sam rdzeń »nierozsądnych porywów«... A między niezasypanemi mogiłami szargał się ów szakal, wylęgły z nędzy i ciemnoty, z zaprzaństwa, z męki i z upadku, który brał na się pozory »zmysłu praktycznego, rozsądku«... Otóż piewcom t a m t y c h czasów wolno było tak okropnie mięszać w swych pieśniach myśl i krew, jak je klęski narodu mięszały w życiu. To dopiero później przyszło takie wytworne poczucie klasyfikacji literackiej — później, razem z cenzuralnym rozkwitem naszej powieści, — które podzieliło rzeczy te na symboliczne i realistyczne i załatwiać się z niemi umiało fachowo, po literacku. Ujejskiemu wolno było targać nam wnętrzności, Asnykowi wolno było ukazywać krwiste plamy na pierwiosnkach — o ile byli piewcami t a m t y c h czasów.

Za pozwoleniem — pyta mię policja form literackich — więc pan Maurycy Zych jest z t a m t y c h czasów, jest romantykiem? — Odpowiedzieć trzeba, że nie jest romantykiem, tak samo, jak nie jest ani symbolistą, ani realistą... Więc? — Jeszcze jedna dywersja: Są ludzie, którzy wspominają zmarłych tylko w dzień zaduszny i obchodzą uroczyście żałoby tylko w »uświęcone zwyczajem« rocznice. — A są inni, którym ból targa duszę nawet w dzień powszedni, nawet bez t. z. dostatecznego powodu... O nich mówi nam autor i do nich sam należał: są to ludzie »chorzy — na chorobę dziwną, nie dającą się określić, lecz bezwątpienia wyniszczającą organizmy psychiczne tysięcy ludu — chorzy n a m o s k a l i«...

Ta choroba »wytwarza w jednostkach pewnego rodzaju melancholję, odrazę do wszystkiego, cokolwiek się wszczyna, a jednocześnie chorobliwą i bezradną nadwrażliwość na niedolę ludzką, która nęka co godzina, codziennie, wszędzie toczy duszę, jak skir i równa się jakiemuś nieprzerwanemu szarpaniu żył...« I dalej: »Choroba ta nie jest ani sentymentalizmem, ani szowinizmem, ani miłością, ani nienawiścią, lecz po prostu głuchą i niemą rozpaczą umysłów...« Teraz możemy skończyć z komentarzem i wrócić do literackich kwestji: powyższy mistrzowski rodowód strasznej choroby ułatwi czytelnikowi zrozumienie artyzmu pana Zycha. — Jak choroba owa nie jest »ani sentymentalizmem, ani szowinizmem, ani miłością, ani nienawiścią«, tak płód w niej poczęty nie może być ani realistycznym, ani symbolicznym, ani romantycznym utworem. Jak choroba ta jest g ł u c h ą i n i e m ą r o z p a c z ą u m y s ł ó w — tak utwór ten jest jękiem, jest katuszą, jest zmorą. Zmora — oto jest właściwa nazwa literacka dla obrazu *Rozdziobią nas kruki, wrony*. Dziwna nazwa, jedyna w swoim rodzaju, ale też jedyne są warunki, w których się poczęła?

Brutalność tytułu książki, przeraźliwe znaczenie przytoczonych fragmentów — wszystko to obejmuje tłumaczenie powyższe.

To nie jest nowela żadna, którąby można było mierzyć miarką konwencjonalną. To jest krzyk duszy w męce najwyższej, niemy krzyk dochodzącego »do głuchej rozpaczy umysłu«.

Dawnośmy się nauczyli, że w literaturze naszej są pewne wizje, pewne ekstazy święte dla nas wszystkich, które czujemy nie po literacku. Do tej kategorji należy wizja, czy zmora owej okropnej biesiady. A tak to, co było w utworze niezrozumiałem, staje się jego mistrzowstwem i mistrzowstwem jest to splątanie realistycznych, przemawiających do każdego fragmentów, z symbolami, dla wielu dziś zbyt wytartymi. Tem jedno od drugiego zapożycza się tą ostrą, dziką energją, która musi wreszcie rozkuć najtwardszą niedomyślność. Mistrzowstwem jest zbolałej duszy, może instynktowem, powołanie na świadectwo swej męki dzisiejszej — tych obrazów z t a m t y c h czasów. Tem się ustanawia nierozerwalna ciągłość, rdzenia ich jedność. A świadectwo tej jedności, dane z taką bolesną natarczywością przez młodego artystę, ma dla nas znaczenie doniosłe, niezależnie już od swej wartości wewnętrznej.

Antoni Potocki.

EGIPT.

WSTĘP DO POWIEŚCI.

(Ostatni Nr. »Tygodnika Ilustrowanego« daje początek powieści pt. »Faraon«, pióra utalentowanego powieściopisarza polskiego Bolesława Prusa. Powieść ta, przenosi nas w odległą o 3.000 lat epokę, kiedy upadła dynastja XX i po Ramzesie XIII wdarł się na tron Sem-amenher-hor, arcykapłan Ammona... Powieść poprzedza wstęp, który powtarzamy za »Tygodnikiem«.)

W północno-wschodnim kącie Afryki leży Egipt, ojczyzna najstarszej cywilizacji w świecie. Przed trzema, czterema, a nawet pięciu tysiącami lat, kiedy w środkowej Europie, odziani w surowe skóry, barbarzyńcy kryli się po jaskiniach, Egipt już posiadał wysoką organizację społeczną, rolnictwo, rzemiosła i literaturę. Nadewszystko zaś wykonywał olbrzymie prace inżynjerskie i wznosił kolosalne budowle, których szczątki budzą podziw w technikach nowożytnych.

Egipt jest to żyźny wąwóz między pustynią Libijską i Arabską. Głębokość jego wynosi kilkaset metrów, długość 130 mil, średnia szerokość zaledwo milę. Od zachodu łagodne, ale nagie wzgórza Libijskie, od wschodu strome i popękane skały arabskie — są ścianami tego kurytarza, którego dnem płynie rzeka Nil.

Z biegiem rzeki na północ, ściany wąwozu zniżają się, a w odległości 25 mil od morza Śródziemnego nagle rozchodzą się, i Nil, zamiast płynąć ciasnym kurytarzem, rozlewa się kilku ramionami po obszernej równinie, mającej kształt trójkąta. Trójkąt ten, zwany Deltą Nilową, ma za podstawę brzeg morza Śródziemnego, u wierzchołka zaś, przy wyjściu rzeki z wąwozu, miasto Kair, tudzież gruzy przedwiekowej stolicy, Memfisu.

Gdyby kto mógł wznieść się o 20 mil w górę i ztamtąd spojrzeć na Egipt, zobaczyłby dziwną formę kraju i osobliwe zmiany jego koloru. Z tej wysokości, na tle białych i pomarańczowych piasków, Egipt wyglądałby jak wąż, który w energicznych skrętach posuwa się przez pustynię do morza Śródziemnego i już zanurzył w nim trójkątną głowę, ozdobioną dwojgiem oczu: lewem — Aleksandrją, prawem — Damiettą.

Długi ten wąż w październiku, kiedy Nil zalewa cały Egipt, miałby błękitną barwę wody. W lutym, kiedy miejsce opadających wód zajmuje wiosenna roślinność, wąż byłby zielony, z błękitną pręgą wzdłuż ciała i mnóstwem błękitnych żyłek na głowie, z powodu kanałów, które przecinają Deltę. W marcu błękitna pręga zwęziłaby się, a ciało węża, skutkiem dojrzewania zbóż, przybrałoby kolor złoty. Wreszcie w początkach czerwca nilowa pręga byłaby bardzo cienka, a ciało węża zrobiłoby się szare, jakby przysłonione krepą, skutkiem suszy i pyłu.

Zasadniczą właściwością klimatu egipskiego jest upał; w styczniu bywa 10 stopni ciepła; w sierpniu niekiedy gorąco sięga 47 stopni, co u nas odpowiada temperaturze rzymskiej łaźni. Nadto w sąsiedztwie morza Śródziemnego, nad Deltą, deszcz pada ledwie dziesięć razy na rok, w górnym zaś Egipcie raz na 10 lat.

W tych warunkach Egipt, zamiast kolebką cywilizacji, byłby pustynnym wąwozem, jakich pełno wśród Sahary, gdyby co rok nie wskrzeszały go wody świętej rzeki Nilu. Od końca czerwca do końca września Nil przybiera i zalewa prawie cały Egipt; od końca października do końca maju roku następnego opada i stopniowo odsłania coraz niższe płaty gruntu. Wody rzeki są tak przesycone mineralnemi i organicznemi szczątkami, że kolor ich staje się brunatnawym, więc w miarę opadania wód, na zalanych gruntach osadza się muł żyźny, który zastępuje najlepsze nawozy. Ten muł i gorący klimat sprawiają, że egipcjanin, zamknięty między pustyniami, może mieć trzy zbiory w ciągu roku i około 300 ziarn z jednego ziarna zasiewu.

Ale Egipt nie jest jednostajną płaszczyzną, lecz krajem falistym; niektóre jego grunta tylko przez dwa lub trzy miesiące piją błogosławione wody, inne nie widzą jej przez rok cały, wylew bowiem nie dosięga pewnych punktów. Niezależnie od tego trafiają się lata małych przyborów, a wówczas część Egiptu nie otrzymuje zapładniaiającego mułu. Nareszcie skutkiem upałów ziemia prędko wysycha i trzeba ją zlewać, jak w doniczkach.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że naród, zamieszkujący dolinę Nilu, musiał albo zginąć, jeżeli był słabym, albo uregulować wody, jeżeli posiadał genjusz. Starożytni egipcjanie mieli genjusz, więc stworzyli cywilizację.

Już przed sześciu tysiącami lat spostrzegli, że Nil przybiera, gdy słońce ukazuje się pod gwiazdą Syrjuszem, a zaczyna opadać, gdy słońce zbliża się do gwiazdozbioru Wagi. Spostrzeżenia te popchnęły ich do obserwacji astronomicznych i mierzenia czasu.

Aby zachować wodę przez cały rok, wykopali w swoim kraju długą na kilka tysięcy mil sieć kanałów. Aby zaś ubezpieczyć się od nadmiernych wylewów, wznosili potężne tamy i kopali zbiorniki, z pomiędzy których sztuczne jezioro Moeris zajmowało 300 kilometrów kwadratowych powierzchni, przy dwunastu piętrach głębokości. Nareszcie wzdłuż Nilu i kanałów pobudowali mnóstwo prostych, ale skutecznych machin hydraulicznych, za pomocą których można było czerpać wodę i wylewać ją na pola'

położone o jedno lub dwa piętra wyżej. I jeszcze jako dopełnienie wszystkiego: trzeba było co rok oczyszczać zamulone kanały, poprawiać tamy i budować wysoko położone drogi dla wojsk, które w każdej porze musiały odbywać marsze.

(Dok nast.). *Bolesław Prus.*

KRYZYS.

(Studjum z natury).

(Ciąg dalszy.)

Redaktor słuchał ze spuszczoną głową, jakby cierpliwy spowiednik.

Kalinowski ciągnął dalej.

— Właściwie mam na myśli pewne założenia ogólne. Chodzi mi o psychologję życia prowincjonalnego.

Następnie, ożywiając się nieco powtórzył Kalinowski to, co już mówił Gruszczyńskiemu o swem »Trzęsawisku«. Redaktor ciągle słuchał w zamyśleniu.

— Bardzo, bardzo pesymistycznie przedstawia pan ten stan rzeczy — rzekł wstając z krzesła.

Kalinowski uśmiechnął się.

— A jednak tak jest: apatja i zastój powszechny, w klubie nie prenumerują ani jednego z tz. pism postępowych.

Redaktor sięgnął po dużą księgę.

— Widzi pan — rzekł przerzucając karty — mam tu właśnie dowód, że tak źle nie jest. Mamy tam jednak siedmiu prenumeratorów. Czy pan zna ich?

Kalinowski nie znał prawie nikogo: po za stosunkami biurowymi niepodobna mu było zbliżać się z tymi ludźmi.

— Tak, tak — kończył redaktor — niech pan pracę zostawi. Zawsze to jest opinja człowieka, który rzeczy widział własnemi oczami.

Kalinowski poczuł, jakby brak gruntu pod nogami.

— Właściwie, ja to dopiero mam napisać — odrzekł. — I właśnie chciałem się uprzednio porozumieć z panem.

Redaktor podniósł na Kalinowskiego zmęczone oczy, w których się malowało zdziwienie.

— A... pan jeszcze tego nie napisał... Tak — proszę pana — rzekł spoglądając nie bez goryczy na zegarek — w interesie naszym leży dawać dobre informacje, poruszać kwestje żywotne. Pan wie, że o ile rzecz jest napisana w dobrej woli, to nie cofamy się przed drukiem, chociażby chodziło o kwestje drażliwe.

Kalinowski istotnie wiedział o tem, jako stały czytelnik pisma. Tem bardziej uczuł się nagle w fałszywem położeniu. Jeszcze raz zapewnił go redaktor, że czeka na samą pracę i Kalinowski wyszedł. Wychodząc słyszał śpieszne kroki redaktora, który wracał do przerwanego zajęcia.

— Po co ja mu zawracałem głowę? — wzruszył Kalinowski ramionami — po prostu trzeba było napisać i przysłać. Wieczorny ruch na Nowym Świecie — orzeźwił go. Szedł spacerowym krokiem, mijając pełne światła żwierciadlane szyby, przed któremi chwilami się zatrzymywał, zaglądając w księgarskie wystawy. Znowu czuł się, »jak dawniej«. Jak dawniej chwytał w lot czerwony szyldzik »Nowość!« zatknięty między nierozcięte karty świeżutkich książek — sprawiało mu to lekką przyjemność. Jak dawniej szybkiem uchyleniem ramion wymijał »facetki«, które samotne lub ze służącemi migały w świetle gazowem zaróżowione i syrenkowate. Nic czekała nań żadna terminowa czynność, więc »jak dawniej« nie spiesząc się doszedł do Blickla i wstąpił na pisma, w nadziei, że się spotka tu z Gruszczyńskim.

W czytelni pełno było, jak zwykle. Może przez czas nieobecności Kalinowskiego przybyło lub ubyło parę twarzy — na ogół jednak była to ta sama dobrze mu znana publiczność.

Na prawo pod oknem siedzi Malarja, rozprawiająca w sobie właściwym żargonie i pokładająca się od śmiechu przy dowcipach »Fliegendeblätter«. Dalej — w najgłębszym kącie czytelni, siedzi ktoś nad kawą, której nie pije, z gazetą, której nie czyta — ktoś otoczony obłokami cygarowego dymu. Kalinowski wie, że ta postać melancholijna i zagadkowa, to subjekt ze znajomej księgarni. Widzi dalej suchotniczą i inteligetną twarz młodego doktora, którego zna tylko z nazwiska.

Doktor wstaje od czasu do czasu, zamienia jedną płachtę gazety na drugą — i odczytuje tak przez wieczór wszystkie pisma, Bóg wie od jakiego już czasu. Tuż obok siedzi jeszcze i jeszcze amator nowin: Każdy czeka z niecierpliwością na »Kurjer Warszawski«, czytając »Kurjera Codziennego« i trzymając w ręku »Prawdę« lub »Przegląd«...

Ktoś nawet kłania się Kalinowskiemu z poza ilustracji.

W takich chwilach przypływ życzliwości do dawniej znanych ludzi jest wielki i Kalinowski oddaje ukłon z całą uprzejmością, mimo że pana tego na razie nie poznaje. Po chwili znów spogląda w kierunku ilustracji. — Pan również go obserwuje. Twarz nieznajomego niczem się zresztą nie wyróżnia od innych: przyzwoita, nieco papierowego tonu i jakby trochę zmięta twarz, oczy koloru wyblakło niebieskiego, z charakterystycznem zmęczeniem powiek, bródka mierzwinka nieco za rzadka — wszystko to

składa się na obraz niezmiernie warszawskiej fizjognomji przeciętnej »jednostki inteligentnej«. Potwierdza to również wyraz twarzy nieco zblazowany i jakby trochę tropiący. Narazie rzuca się Kalinowskiemu w oczy sposób siedzenia »inteligentnej jednostki«: siedzi formalnie na kości krzyżowej, na plecach prawie, abnegacko i niedbale zasunięty w fotel.

— Przecież to Pazikowski adwokat! — przypomina sobie nagle Kalinowski. I jednocześnie przypomina cały szereg scen »na patelni«, włóczęg nocnych w kupie studentów, malarzy, literatów, w których Pazikowski nieodmiennie udział przyjmował. Po chwili Pazikowski odkłada ilustrację i zbliża się do stolika Kalinowskiego.

— Cóż słychać nowego? — wita się z Kalinowskim. I to pytanie jest również wiecznem pozdrowieniem adwokata.

Kalinowski się roześmiał.

— To chyba ja pana o to mógłbym pytać.

— A tak, tak — mówi Pazikowski, zatapiając ręce w kieszeniach — pana tu już dawno nie było.

— Rok górą mieszkam na prowincji.

— Wiem, wiem: w wielkiem centrum fabrycznem... Podobno się pan na dobre zainstalował.

— Żartuje pan chyba — odrzekł Kalinowski — czyż można »na dobre« zainstalować się w takiej dziurze prowincjonalnej? Ostatecznie ma się przecież pewne potrzeby duchowe.

Pazikowski słuchał tych słów z widoczną rozkoszą, zasuwając coraz głębiej ręce w kieszenie.

— Dziura, powiada pan, co?

— Mój panie: cały dzień siedzi się w fabryce, a wieczorem z szanownymi kolegami rozmowa — znowu o fabryce.

— A zajęcie pańskie bardzo nużące? — pytał dalej Pazikowski.

— Jakby panu powiedzieć? — Niech sobie pan wyobrazi rodzaj kontroli interesu, która mi pozwala poznać wszystkie jego szwindle, wszelkie, wie pan, szpasy; a jednocześnie wie się, że te właśnie szwindle są podstawą tego interesu.

— Tak, tak — przytakiwał Pazikowski, przebierając palcami w rzadkiej bródce — i koleżki powiada pan bydło, co?

Kalinowski nie odrazu odpowiedział: zastanowiło go to złośliwe rozjaśnienie, ten dobry humor, z jakim Pazikowski słuchał jego bezlitośnych uwag o prowincji. Zdawało się wprost, że im beznadziejniejszych barw używał Kalinowski — tem większą rozkosz uczuwał Pazikowski.

— No, tak znów źle nie jest — odrzekł wreszcie — są ostatecznie i ludzie inteligentni.

— Bawią się w teatr amatorski, co? — śmiał się Pazikowski, odsłaniając żółte zęby — macie państwo może i straż ochotniczą?

Kalinowski słabo się uśmiechnął, czując, że odpada go nagle werwa oskarżeń.

— Tak, tak, panie — ciągnął Pazikowski — bryndza... Wyraz ten przypomniał Kalinowskiemu, że adwokat i dawniej często go używał, a głównie dla określenia swego stanu finansowego. Nie bez złośliwości więc rzucił pytanie:

— Jakże panu się powodzi — spraw przybywa?

Adwokat machnął ręką.

— E, bryndza jest.

Z kolei Kalinowski uczuł grzeszną przyjemność w duszy.

— Więc czemuż pan nie wyjeżdża na prowincję.

Pazikowski mrugnął okiem.

— Nie będziesz brał bliźniego twego na kawał. A pan sam co o prowincji mówił?

— To trudno panie — odważyć się jednak trzeba.

Pazikowski zasiadł się jeszcze głębiej w fotel i jeszcze głębiej zasunął ręce w kieszenie.

— Ja, panie, nie jestem odważny — rzekł. Trzeba umieć urządzić się, stworzyć sobie jakieś życie. — A tu mam wszystko gotowe: mam, panie, towarzystwo, mam atmosferę, w której mi znośnie.

Tu ręką powiódł w półkole, jakby błogosławiąc głowy pochylone nad płachtami bibuły. Pazikowski mówił dalej z pewnym właściwym sobie cynizmem i niby logicznie. Kalinowski jednak unikał jego wyblakłych oczu i czuł wzrastającą antypatję do żółtych zębów adwokata.

— Do miłego widzenia — rzekł wreszcie wstając Pazikowski — widział pan już »Gniazdo rodzinne«.

— O, widziałem, widziałem — pośpieszył odpowiedzieć Kalinowski.

— A nie poszedłby pan do Małego?

Kalinowski przerażony perspektywą spędzenia wieczoru, prędko i z uczuciem podziękował za propozycję.

— A w knajpie u Victora tak po 11-tej nie będzie pan?

— Dziękuję panu, ale nie.

Pazikowski znowu wsunął mu rękę, która robiła wrażenie wiązki flaków.

— Więc zatem do miłego zobaczyska.

Po chwili siedział już adwokat przy suchotniczym doktorku, witając go tem samem pytaniem.

— Co u szanownego doktora słychać nowego?

Kalinowski mimowoli przeszedł na drugi koniec czytelni i wziął się do gazet. Dziwna rzecz jednak! tak samo, jak dziś nie mógł przełknąć drugiej filiżanki »czarnej«, chociaż dawniej pijał lekko po kilka — tak samo nie mógł odczytywać wszystkich gazet po koleji. Bez przekonania

przejrzał jeden tygodnik, w którym dużo było mowy o francuskiej literaturze, angielskiej polityce i szwedzkiem społeczeństwie... Następnie przerzucił jakiś entuzjastyczny komentarz niewieściego pióra o Nitschem...

— Cóż mnie to może obchodzić? — szepnął. Zajęły go trochę wiadomości z prowincji: nie było ich jednak wiele i wszystkie nosiły na sobie piętno złośliwego pesymizmu.

(C. d. n.) *Jerzy Grot.*

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

Uczył się więc i o Grecji wciąż myślał, a na szczyty Peljonu biegły wciąż nowe jego pieśni, coraz to potężniejsze uczuciem, coraz goręcej tłómaczące Kleftom, jak się trzymać potrzebują dawnej polityki.

Z nad Peljonu też słowa pieśni Kostakiego poczęły się szeroko rozchodzić. Już i fanarjoci nietylko w Tessalji, ale nawet u Złotego Rogu wiedzieli, że Kostaki Rygas pracuje w Wiedniu, że śpiewa niby słowik na jedną nutę bez ustanku, że dzięki tym pieśniom i dzięki jego wędrówkom po przedpokojach mężów stanu, o Grecji zaczyna być głośniej na świecie.

I stało się to, co zazwyczaj dzieje się między ludźmi. Do biednego pieśniarza młodej Grecji, rozpoczęła się wędrówka tych, którzy zaczęli przypuszczać, że pieśnią można coś wykołatać w świecie siły. Nawet fanarjoci odnaleźli jego ubogie gniazdko, położone na najwyższem piętrze jednego z domów Wiednia, a wszystko, co tylko nosiło imię greckie, zaczęło się gromadzić około tego syna gór, około tego pieśniarza.

W ślad Kostakiego poszli inni i stworzyli na bruku wiedeńskim koło młodych, dzielnych, energicznych ludzi. Kostaki powtarzał zawsze tylko jedno słowo:

— Grecja ożyć musi.

Wykwitem tych myśli, tych słów, tych marzeń, tych idei była pierwsza grecka heterja.

W tych czasach dyrektorjat rządził we Francji, a wojska Bonapartego, wkroczywszy do Piemontu z wielkiemi frazesami na ustach, z egoizmem własnym na końcach bagnetów, tumaniły świat cały.

Oczy wszystkich zwracały się w stronę naczelnego wodza tych wojsk, które w ciągu dwóch tygodni bez grosza odniosły sześć zwycięstw, wzięły 26 okrętów, 50 dział, kilka twierdzi 15000 jeńców.

Naczelny wódz, wysłannik dyrektorjatu, szeroko rozpowiadał o tem, jakim jest przyjacielem ludów; zdobywał Wenecję, aby ją potem z Austrją przefrymarczyć na Niderlandy.

Kostaki nie nauczył się jeszcze rozumieć tego, co jest kłamstwem, a co jest prawdą w polityce.

Frazesy Bonapartego, głoszącego o wielkiem posłannictwie Francji, brał za dobrą monetę, a nie za liczmany, jakiemi były w istocie; nic dziwnego, czytywał takie piękne proklamacje i słuchał takich słodkich obietnic dyrektorjatu. Jego heterja żyła już, już się organizowała, w niej już mieli brać udział Miantis, Ipsylanti i wszyscy późniejsi bohaterowie sprawy greckiej, a członkowie heterji drugiej, która wkrótce po pierwszej swój żywot rozpocząć miała.

— Bonaparte w Wenecji! Pójdę tam upaść do nóg jego, tak jak padałem hospodarowi na Wołoszczyźnie i powiem: Ty, co myślisz o wyswobodzeniu Włoch z wszelkiego jarzma, ty, coś wypędził tyranów i oligarchów z Wenecji, rzuć okiem swojem na Grecję, pomyśl o niej, daj nam odrobinę twego dzielnego wojska.

Naiwny! on wierzył, że ten, który przy każdej bitwie przedewszystkiem widział swoją koronę, mógł myśleć o Grecji, uciemiężonej przez Turków. Tak, on pomyśli na złość Anglikom, wtedy zaś jeszcze Anglicy nie byli dla niego taką solą w oku.

Jak dawniej więc, powiedziawszy członkom heterji, dokąd idzie, poszedł Kostaki do Wenecji rzucić się do nóg wielkiego wodza Francji i republikańskiego dyrektorjatu. Nie wiedział, że w Tryeście znajdzie siepaczy, którzy go będą umieli związać, oddać w ręce Turków i ubezwładnić heterję.

Nie wiedział... a jednak wszystko tak się stało. Kostakiego spahowie prowadzili do Janiny.

Jednym jękiem zadrgały wszystkie góry, gdy ten, co o nich myślał, znalazł się z rękami okutemi w kajdany, temi rękami, które tak ogniście, tak namiętnie dla nich pracowały.

Najstraszniej jednak ta wieść odbiła się w dwóch sercach. W sercu Eminy, żony Alego, który po dawnemu, bezkarnie pustoszył doliny i krwawił ręce w potokach krwi greckiej i w sercu Roksandy, która wyczekując bezustannie na ukochanego, powtarzała Kleftom jego piosenki, jakie z nad Dunaju przybiegały.

Wysoka Porta przyjąwszy w swe ręce ze szlachetnych austrjackich dłoni tak potężną armję, jaka się mieściła w sercu i mózgu poety, przyjęła ją z całą ostentacją wielkiej ilości zbirów.

Kleftowie nie mogli się kusić nawet o wydobycie z niewoli swojego barda.

Ale to, co nie powstało w myślach rycerzy, zrodziło się w sercu kobiety, dziewczyny z ludu, bohaterki, Roksandy.

Zobaczyć go, to było pierwszem jej marzeniem; uścisnąć, opowiedzieć, jak i co działo się w górach, gdy on poszedł za światy, to drugie marzenie.

Gdy Ali Teleben z piekielną radością powiedział swej żonie o ujęciu Kostakiego, zemdlała.

Stataki zmówił ze dwanaście pacierzy, zanim przyszła do przytomności.

— Na pal go wbiją, szepnęła budząc się Emina.

— Kostakiego? Tak, moja córko, pomódl się za jego duszę.

I modliła się Emina.

Roksanda zapomniała o Eminie zupełnie, a choć jej ludzie powiedzieli, jak długo do tego poświęcenia za wiarę i do zostania żoną Alego musieli ją namawiać duchowni i Stataki, obojętnie tylko machnęła ręką i szepnęła:

— Pójdzie na marne, niech zginie, co mi tam!

Dostać się do lochu, w którym okuty w kajdany spoczywał Kostaki, było rzeczą niełatwą, niepodobieństwem prawie, a jednak tego dokonała Roksanda.

O północy, gdy Spahowie zmieniali wartę przy więzieniu pieśniarza młodej Grecji, znalazła ona chwilkę, w której otworzyły się przed nią rygle celi, a Kostaki uczuł, jak ktoś rzucił się do nóg jego i jak je całować zaczął.

— Kto tutaj? zawołał.

— Nie czujesz, że to ja, sokoliku ty mój najdroższy, słonko ty jedyne moje, słowiku nasz!

— Roksanda!

— Tak, ja u twych nóg, u twych stóp!

— Mów mi, Roksando, co słychać w górach.

— Och, śpiewałam im twoje pieśni, oni je rozumieli, już gotowi.

— Gotowi? Jakże szczęśliwy jestem! Ty mnie nie łudzisz, Roksando?

— Jak Bóg na niebie, tak blisko, bardzo blisko nasze szczęście.

— Oddycham, umrę spokojny...

— Nie, ty nie umrzesz, ty umrzeć nie możesz, ja nie chcę, żebyś ty umarł, słyszysz?!... poruszę niebo i piekło i świat cały, a ty żyć musisz, żyć będziesz!

— Nie łudź się, Roksando, to być nie może, wyrok sułtański już zapadł, przyprowadzono mnie tu tylko po to, abym skonał, skonał tam, zkąd wyszedłem, gdziem zaczął myśleć o naszej ojczyźnie, o jej szczęśliwem jutrze.

— Nie, nie, sokole mój, nie mów mi tak, ja nie chcę. Tacy ludzie jak ty, żyć powinni wiecznie.

— Żyć będę w pieśni mojej, w plonie obfitym, który ona kiedyś Grecji przyniesie.

— Ale Grecja jeszcze martwa, dla jej zbudzenia ciebie jeszcze potrzeba! mówiła ze łkaniem Roksanda.

— Rzuciłam ziarno, znajdą się inni, którzy z niego kłos zbierać będą umieli. Skończyłem mą pracę, nie mam nic do powiedzenia więcej ludziom, zostaw mnie w pokoju, Roksando Potrzebuję pomyśleć nad życiem mojem, nad przyszłością i nad wami.

Roksanda nagle zerwała się z ziemi, na której klęczała przed Kostakim i z mocą zawołała:

— Dobrze, myśl o nas tutaj, a ja myśleć będę, jak ciebie uratować.

W konaku Alego była komnata jedna obłożona od góry do dołu obrazami, w rogu kołyska zawieszona w powietrzu, jak hamak, tu pod nią wspaniale usłane łoże z perskich kobierców i edredonowego puchu. Hamak buja się w powietrzu poruszany delikatną rączką niewieścią; na edredonach spoczywa kobieta, a księżyc blady i lampka, rzucająca niebieskie światło, oświeca cały ten obraz przypominający sen z tysiąca nocy. Kobieta co chwila wzdycha, co chwila wyciąga ręce, wić się zdaje na tych edredonowych puchach, z oczu jej łzy płyną.

To żona Alego, to Emina.

Basza pije dzisiaj zawzięcie, zresztą innych żon ma wiele; Emina jest już dzisiaj dla niego zużytym sprzętem, o którym i pamiętać nie warto.

W tę noc sierpniową rozciągnięta na łożu marzy o dawnych latach, a co chwila ręką oczy przeciera, jakby chciała od nich odegnać wspomnienie twarzy bladej, która jej wciąż na myśli staje.

Z ruchów jej gorączkowych, nerwowych, gwałtownych, widzisz, jaka niespokojność ją pożera. Nawet hamak często zatrzymuje się w powietrzu i dopiero kwilenie dziecka przypomina rączce Eminy jej macierzyński obowiązek.

(Dok. nast.).



PRO MEMORIA.

23. października 1823. Z rozkazu Nowosilcowa uwięziono głównych filaretów, a między nimi Tomasza Zana i Adama Mickiewicza. Ośm klasztorów w Wilnie zamieniono na więzienie dla chlubnych przedstawicieli młodzieży polskiej.

26. października 1865. Wywieziony został z Warszawy do Astrachania ks. Paweł Rzewuski, który po wywiezioniu arcybiskupa Felińskiego zarządzał archidyecezją warszawską. Uwolniony z wygnania zamieszkał od r. 1887 w Krakowie, gdzie umarł 26. października 1892 r.

27. października 1874. Zmarł w Krakowie Andrzej Zamojski. Zacny ten obywatel służył krajowi w walce orężnej i spokojnej pracy nad podniesieniem dobrobytu. W r. 1831. brał udział w walce pod Grochowem, a po upadku powstania więziony był przez Paszkiewicza. W r. 1857. założył Tow. rolnicze, które miało na celu nietylko podniesienie rolnictwa, ale i zajęcie się dobrobytem, oświatą, umoralnieniem ludu wiejskiego. Towarzystwo wydało nawet znakomity elementarz, który rozszedł się w 100 tysiącach egzemplarzy. Założył w dalszym ciągu Zamojski fabrykę maszyn na Solcu w Warszawie i zaprowadził parową żeglugę między Warszawą a Gdańskiem. Po r. 1863 skazany został na wygnanie z kraju, majątek zaś jego uległ konfiskacie rządowej.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.